

O MUZYKANCIE Z LESZNA

(opowiadał J.Olk)

To tu z Leszna to chodził jeden muzykant do Rasząga. W niedzielę albo tak, jak go zawołali. Bo wprzód, jak na skrzypczkach zagrał kto – to ludzie już tańczyli. Bo ludzie dawniej to byli weselsi jak teraz. Teraz, to zaraz trzeba orkiestry, żeby która poszła tańczyć. A dawniej!? Żeby tylko jeden na skrzypkach – i było dobrze.

No jo! Poszedł tedy ten muzykant do Rasząga, a w nocy po tej muzyce nazad szedł do Leszna, do domu. Szedł tak przez las, szedł przez taką wyrębę, gdzie drwale w dzień robili, klinów pełno leżało, nawet i siekiera była. Idzie tak ten muzykant... idzie... bo w krzaczkach trzask... prask... niedźwiedź! No jo! Ustał na dwie łapy on niedźwiedź, ale muzykant nic. Był tam pewnie trochę podпиты, to z niedźwiedzia nic sobie nie robił. Tedy do onego niedźwiedzia mówi:

- No towarzyszu! Nie tak bystro do mnie z tymi łapami! Ja wielki muzykant jestem, od Leszna do Rasząga mnie znają i tylko wtedy tańczą, jak ja gram!

Bo niedźwiedź opadł na cztery łapy i powiada:

- Wejno wej! Jakeś ty taki wielki muzykant, to możebyś tak mnie nauczył grać!?

Muzykant się namyślił i powiada:

- No... jo! Jakbyś bardzo chciał, to mogę cię wyuczyć.

A niedaleko był taki pień. Zerżnięta była chojka. Tedy ten muzykant wziął siekierę w rękę, co to ją drwale zostawili w lesie i powiada:

- Pójdź no wej! Daj no tutaj swoje łapy! Ty masz je całkiem pokrzywione. Jak chcesz być muzykantem, to musimy je naprostować!

Muzykant siekierą zaciął, pień rozczepił, łapy niedźwiedzia tam wsadził i klinem je zaklinował! No i teraz niedźwiedź się nie może wydostać. To muzykant za skrzypki i zaczął onemu niedźwiedziowi grać a śpiewać:

- Na skrzypczkach gram od ucha,
niedźwiedź rad muzyki słucha,
nauczy się niedźwiedź grać,
tło mu skrzypki w łapy dać.

I się zaśmiał niedźwiedziowi w pysk, jeszcze mu się pięknie ukłonił i poszedł... a niedźwiedź sam w lesie ostał!

O KLASZTORZE W STANCLEWIE

(opowiadał M. Flakowski)

Moja babka to powiadała, że jak przechodziła za Stanclawem, to to miejsce widziała. Bo ona pochodziła ze Stanclawa. To powiadała, że tam w tym miejscu miał klasztor w grunt, w dół pójść. Zawdy tam dzwony słyhać było. I raz rybacy tam na jeziorze złapali trzy okonie i jak chcieli je w wór wsadzić, to te okonie wołały:

- Kąsi kusu, kąsi kusu, kąsi kusu – tak trzy razy wołały. – Wypuście nas, bo wam lichy pójdzie.

I rybacy się wystraszyli i puścili je nazad do wody.

Teraz tam wychodziła klasztorna panna, od tych zakonnic. Na tej górze wychodziła. A tam dalej gospodarz orał i podszedł do niej, a ona tak powiedziała:

- Ty jesteś ten jeden, co możesz mnie wybawić. Ale wleżę ci na bary, musisz mnie trzy razy obnieść dokoła klasztoru. I masz ani się obejrzeć, ani się śmiać. Bo jak się roześmiejesz, albo obejrzysz to już nigdy nie będę zbawiona. No jo.

Ona mu wlażała na bary i on tak chodził, jak kazała. I rozmaitość straszna: diabły z rogami i przez rogów i diabły z widłami go szturchały, a on nic tylko szedł dalej. A jak już trzeci raz miał iść, to leciał pies i się ozorem w tyłek chlapał – i ten się musiał roześmiać. I wtedy takim jękiem, stękiem i takim rykiem poszło wszystko na dół, i od tego czasu już tam nikt nic nie widział, ani tych okoni, ani tej czarnej panny. I tak ojciec powiadywał, a on to jeszcze za prawdę miał.

O RYBAKU Z JEZIORA DADAJ I KAMIENNYM LESIE

(opowiadała A. Kuczke)

W starych czasach, jak wkoło jeziora Dadaj nie było nic, tło lasy i zarośla rozmaite. Kiedy to wydry z wody w biały dzień wychodziły, w tych czasach przyjechał na wozie z dalekich stron jeden rybak. Przyjechał od Wilimsa albo Ramsowa jaką drożyną i patrzył na tę wyspę na jeziorze, i tak on sobie zbudował prom i na tym promie się przeprowadził z tym swoim wozem i koniem na oną wyspę na jeziorze Dadaj, ale ono się wtedy jeszcze nijak nie nazywało. I do tej swojej kobiety mówił:

- Tu my się osiedlimy, pobudujemy chatę, będziemy tu siedzieć i się żywić. Co my mamy dalej iść!

Jak postanowili, tak zrobili. Wziął się do zastawiania sieci i ryby fytał, ale tych ryb to mocno mało dostał. A on wprzód myślał, co będzie jeździć na handlowanie z tymi rybami po okolicznych wioskach. A tu nic. Bo chociaż ryby się na jeziorze ciskały, ale w jego sieci nie właziły. To dość razy go już taka rozpacz brała, że mówił: czy on ma od głodu umrzeć, czy co? A ta jego kobieta to ręce wyciągała do onej wody i wołała:

- Jeziorko! Daj noma wyżywienie! Daj noma! Daj! Daj! Daj!

I on tedy wołał:

- Jeziorko! Zmiłuj się! Wychowaj nas! Daj noma wyżywienie! Daj! Daj! Bo gdzie mamy iść, gdzie mamy tułać się po świecie? Tu nam tak dobrze i byśmy radzi tu być!

No ale tak parę lat zeszło i oni tak w swojej biedzie żyli. I postarzeni się przed czasem! Aż szernieli na twarzach od tej biedy, a jednak nie chcieli opuścić tej wyspy.

Tak jednego dnia, ten rybak wyjechał w ten kąt jeziora, który nazywają Kuckański Kąt. I tam założył znów swoją sieć, a to była taka sieć, co miała taki kutel, taki worek. Tak jak on wyciągnie ten kutel, bo w nim ma taką dużą, czarną żabę. To ten rybak bardzo się zląkł, bo czasami to było słychać na tym jeziorze wrzeszczenie żaby: uhrm... uhrm... tak ani by bydle wyrzekało. Ale potem się odtwardził i patrzy na tę żabę i chce ją z kutla wysypać. Żaba swoją łapkę zatrzymała się za burtę onego bata, tej łódki i patrzy a niego swoją szeroką mordą i swojemi ślepiami – bo naraz się do niego odezwie ludzkim głosem:

- Rybaku, jeżeli przyjmiesz ode mnie ten podarek, co ja dla ciebie mam, to skończy się twoja bieda, nędza i tobie się będzie teraz dobrze powodzić.

I wyciągnęła do niego drugą łapkę:

- Widzisz? W tej łapce mam dwanaście ziarenek, weź je do domu. Trzy ziarenka daj swojej kobiecie, żeby je zjadła. Trzy ziarenka daj swojemu staremu koniowi, niech zje. A te trzy ziarenka daj swojej starej suce, coś ją z sobą na wyspę przywiózł, niech je też zje. A te ostatnie trzy ziarenka weź przed swoją chatą zasadź w rząd, ale kawał jedno od drugiego. A twoja kobieta, jak zje te ziarenka, to za rok porodzi ci trzech czarnych synów, a twoja szkapa za rok będzie miała trzy czarne kiziaki¹, a suka będzie miała trzy czarne szczenięta. I wszystko będzie czarne z wyglądu. A z tych ziarenek przed chatą

¹ źrebaki

wyrosną trzy wielkie drzewa. A te drzewa to będą miały taki znak w sobie: jak twoi synowie dorosną i we świat pójdą i jak jednemu z nich się źle powodzić będzie i śmierć go zastąpi – to jedno drzewo uschnie. A jakby mu się dobrze porodziło, coby ze śmiertelnego snu się obudził – to to drzewo zakwitnie na nowo i będzie się zielenić tobie i twojej kobiecie na znak i na pociechę.

I teraz ona żaba podała mu te ziarenka, wyskoczyła z kutla i zginęła. Rybak już nie bałamucił, tylko pojechał do domu i kobiecie powiadał:

- Podobno nasza dola ma się przemienić. Ma nam się lepiej powodzić. Bo mnie się dziwnie przytrafiło.

Powidał dalej tej swojej kobiecie, jak i co i te ziarenka jej dał, coby zjadła, dla konia zaniósł, psu dał i przed domem posadził, jak ona żaba nakazała.

I uradzili, że jak jezioro ich naprawdę zacznie karmić, jak żaba powiedziała, to za to, co przez tyle lat wołali do niego: daj nam, daj, daj – nazywać jezioro będą Dajdajem.

Kobieta jeszcze nie bardzo dowierzała w ten cud, ale rybak już pojechał na jezioro. I jak za parę godzin wrócił – ma tych ryb pełny bacik.² To kobieta ręce składała i była rada, a on od tego dnia handlować już rybami zaczął. I teraz dzień dnia tak im dobrze szło. A za rok kobieta urodziła trzech synów i każdy miał czarne włosy. I szkapa się wyźrebiła i miała czarne kiziaki jak węgle. I suka się wyszczeniła i miała szczenięta czarne jak węgielki. I drzewa przed chatą rosły.

Lata leciały. Dzieci rosły. Jezioro Dajdaj dawało ryb aż strach. A w dawnych czasach, jak kto nie był pod majątkarzem, to chciał mieć swoją broń. Swój miecz. Bo to były rycerskie czasy. I tymi mieczami uczyli się wojować od małego. Tak też z tych rybackich synów byli prawdziwi rycerze. Więc ten najstarszy syn rybacki, jak się poczuł całym mężczyzną, do rodziców powiedział:

- Teraz mam już dość tej wyspy, baty, lasów i rybaczenia. Pojadę we świat.

Co go naprosili, żeby nie odchodził, ale on się nie dał odmówić. Obsiodłał swojego czarnego konia. Wskoczył na konia, zagwizdał na swojego psa i pojechał. Ostawił matkę i ojca płaczących i pojechał we świat. Jechał on jechał przez wioski rozmaite, aż przyjechał do takiego miasta i ludzie mu mówili:

- Młodzieńcze. Tutaj księżę panuje, a tyś pewnie przyjechał na zawody rycerskie. Bo tu księżę szuka sobie zięcia. To tu codziennie co rycerze z sobą walczą, a księżę ze swoją córką się przygląda. Ale do tej pory żaden rycerz się księżęj córce nie podobał. Jeszcze swojego nie znalazła. Może ty będziesz wybrany. Bo mocno po rycersku wyglądasz.

Ale ten słuchał i sam do siebie się śmiał... ja, rybacki syn, mam się podobać jakiejś księżniczce? Toż to nie jest możliwe. Ale się zakwaterował w jakiejś karczmie i poszedł też do zamku. Nie pytali się go tam, co za jeden, tylko prowadzili na plac, gdzie te zawody były. No i stanął do zawodów z innymi rycerzami. I bardzo dobrze stawał, a ten księżę z córką się przyglądali. I ta córka mówiła:

- Patrz ojczyste! Jakiś nowy rycerz przyjechał! Widzisz tego czarnego rycerza tam?

- Jo. Widzę. To jakiś cudzy rycerz.

² łódeczka

- Ojciec. Ten mi się podoba. Chyba go zaprosisz z tymi drugimi na wieczerzę?!

- Pewnie go zaproszę, może i zięcia się doczekam – mówił on księżę, ale ten rybacki syn nic nie wiedział.

Bo przysłano sługi po niego i poszedł on na wieczerzę z innymi rycerzami. A po wieczerzy muzykanci grali i rybacki syn poszedł tańczyć z oną księżniczką. Potem siedli oboje, rozmawiali i jedno się drugiemu mocno spodobało.

Na drugi dzień poszedł on znów na zawody z rycerzami, na trzeci dzień też. A na ostatni dzień księżniczka do księcia ojca, coby się onego rycerza pytał, czy aby jej poślubić nie chce. No i tak teraz ci młodzi wyznali sobie swoją miłość. Było wesele i się ożenili.

Po weselu, za niedziel kilka zaczął się rybacki syn rozglądać wkoło siebie. A ci młodzi mieli swoją izbę wysoko w zamku. Tak on, jednego dnia pyta tej swojej młodej żonki:

- Patrz, moja żonko. Co to tam jest za las? Toć ja już parę dni patrzę i nie widzę na tej drodze do lasu żadnej furmanki, żadnych ludzi. I w tym lesie nic nie słychać. Tak głucho. Co to jest za las?

Ona tak się przelęknęła i mówi:

- Nie patrz razu na ten las! Nie patrz! Bo to jest zaklęty las! Tam kto pójdzie, to żywy nie wróci! Nie patrz! Od okna odejdz precz!

On od okna odszedł, ale po cichu myślał... co też tam może być? Co to może być za zaklęty las?

I tak raz, raniutko, słuchał, że jego kobieta dobrze śpi, ubrał się i poszedł do stajni. Jego koń go poznał i pies przybiegł. Tak on konia obsiodłał, na psa zagwizdał i przez bramę przejechał. Wacha go nie pytała – bo to mąż księżniczki. A ona się obudziła – bo jego nie ma. To się przeraziła. Wleciała do ojca. Pyta się. Nikt go nie widział. Tylko ci w bramie to widzieli, że do zaklętego lasu drogą pojechał. Teraz księżniczka lamentuje, krzyczy, księżę płacze – co go więcej nie zobaczą. Co zaginiony będzie na wszystkie czasy.

A jemu poszło tak. Przyjechał do tego lasu, słońko wschodziło, ptaszki śpiewały, ale tylko wysoko na drzewach. A na dole, to było wszystko mchem pozarastane. I w mchu to takie stwory dziwne leżały z kamienia. Niby podobne do wozów, niby podobne do ludzi z siekierami w rękach! Rozgląda się syn rybacki i dróżką przez las jedzie, ale pies przy nim taki wystraszony i koń taki też dziwny. Bo patrzy chatka – a z tej chatki wyszła stara babka. Naprzeciw idzie i mówi:

- Wej! Witam cię, synu rybacki! Dla ciebie nic tło honor na świecie i sława. Nie potrzebujesz mi nic mówić. Ja wszystko wiem!

Już do niego doszła, zza pleców wyjęła murarską kielnię, uderzyła go tą kielnią i on więcej nic nie wiedział. Spadł z konia i zaraz się w kamień obrócił. I koń skamieniał i pies skamieniał!

A tamoj, na onej wyspie na jeziorze Dajdaj jedno drzewo uschło. Teraz matka w krzyk i ojciec w płacz – bo tu drzewo uschło. To drugi syn mówi:

- Wiem, że mój brat nie żyje. Muszę iść w świat i się dowiedzieć, co z nim się stało.

Ojciec i matka proszą onego syna, żeby nie jechał, żeby ich nie zostawiał. Ale nie było dla niego ni dobrych, ni złych słów. Siadł na konia, gwizdnął na swego psa i pojechał.

Jechał tak jechał, aż dojechał do zamku tego księcia. I tam wszystkiego się dowiedział o bracie i o zaklętym, kamiennym lesie. Ale jak do zamku przyszedł, to służba zaczęła wołać, co mąż księżniczki wrócił – taki on podobny był do brata. Bo księżniczka wyleci. Padnie mu do szyi i myśli, że to mąż.

- Ja nie jestem twoim mężem! Ty się mylisz. Ja jego brat. Przyszedłem go szukać, przyszedłem go ratować. Pożegnaj was zaraz, bo mnie czas jechać.

To księżniczka zaczęła do niego wołać i ręce składać:

- Synu! Nie jedź! Szanuj życie swoje. Nie jedź do tego zaklętego lasu. Żywy nie wrócisz.

Ale nic nie pomogło. Pojechał tą samą drogą, jak jego starszy brat. I tak samo mu poszło. Wyszła ona czarownica i położyła go kamieniem przy bracie. I jego koń skamieniał i jego pies też skamieniał razem z nim. A na wyspie na jeziorze Dajdaj uschło drugie drzewo. I teraz dopiero był płacz. My po warmińsku na płacz to mówimy krzyk! No to buł taki straszny krzyk na tej wyspie i taki lament aż strach. Ale nic nie pomogło, bo drzewo dalej uschnięte stało.

Teraz ten najmłodszy syn rybaków mówi – muszę ja jechać. A matka i ojciec ręce tylko składali a prosili:

- Syneczku! Nie opuszczaj noju! Już teraz mamy ciebie tylko jednego.

A on swoje i swoje.

- Toć muszę ich szukać. Może są jeszcze do uratowania, to ich wyratuję. Muszę jechać.

Zaklinają go, proszą, żeby był ostrożny chociaż, a on siadł na swojego czarnego konia, gwizdnął na psa i pojechał. Jechał tak jechał, aż trafił do zamku tego księcia. I znowu wszyscy myśleli, że mąż księżniczki się wrócił. I znowu on tłumaczył, jak tamten brat, że on tylko bratem jest, że na ratunek tamtym jedzie. I go prosili a błagali, żeby do tego zaklętego lasu nie jechał. Ale on nie spoczął, konia wykręcił i pojechał. No, teraz do tego zaklętego lasu jedzie tą drożyną, widzi rozmaite figury z kamienia i sobie w myśli mówi, co będzie bardzo ostrożny. Bo idzie mu stara babka na przeciw. Pomyślał sobie zaraz, że przed tą babką musi się też mieć na baczności. A ona babka zaczyna pochlebiać jak i tamtym braciom, co tło mu sława i honor i wszystko, a on tylko patrzy na nią i konia raz po raz cofa. Ona się przyciska, żeby bliżej, on konia cofa! A ten koń aż parska. Bo patrzy, że ona rękę za plecami trzyma z kielnią murarską. To już coś musi być – pomyślał i jeszcze bardziej miał się na baczności. Ale teraz ona pazury uniosła i do niego z kielnią, to on mieczem – i uciął jej pazury. Bo ona drugą ręką podniosła je, przyłożyła nazad i się zrosły. I teraz się rozpoczęła taka walka z oną czarownicą, coby najgorszy rycerz takiej mocy nie miał, jak ona. Ona coraz na niego nacierała z tą kielnią – i do niego, i do niego! A on tym mieczem szastał, szastał, aż jej łeb uciął. Ale łeb się pokulnął na dół, baba łapami go grabnęła i nazad nasadziła - zrósł się! A ona znów na onego młodziaka! Tedy on młodziak tym mieczem jej w pierś – bo miecz tak mocno wszedł, co go wyjąć nie mógł. A ona go już kielnią sięga, bo on jej kielnię wydarł i babę kielnią w łeb – bo baba skamieniała. To jej chciał on miecz wydrzeć z piersi, ale nie poradził, bo już miecz był skamieniały. To on najmłodszy syn rybacki z konia zsiadł, dyszał tak mocno po tej bitwie z czarownicą i rozglądał się. I widzi te twory kamienne i

przyszło mu do myśli, czy aby ta czarownica braci mu kielnią nie zaczarowała. I tak w tym strapieniu kielnią dotknął jednego kamienia, drugiego kamienia – bo bracia ożyli. A na wyspie na jeziorze Dajdaj oba drzewa się zazieleniły, oba drzewa kwitnąc poczęły. A ten najmłodszy brat w tej radości już nie patrzył na nic, tylko kielnią wszystkie te stwory, te kamienne figury ruszał – bo żywe się robiły: ludzie z siekierami, konie, psy, wozy też z kamienia opadały.

I teraz wyszli z tego lasu wielką gromadą. Bo tu księżę z księżniczką z zamku patrzy – idą trzej czarni bracia, trzej czarni rycerze. Bo radości było, a wołania, a krzyku i płaczu. I księżę ich przywitał i mówił do nich temi słowy:

- Chociaż rybaccy synowie jesteście, aleście moi drodzy. I po moje córki poślę, niech do domu wracają, to wam za żony dam. A do tego czasu to gośćmi mojami będziecie. Księstwo między was trzech podzielę i żyć tu będziecie. I o rodzicach waszych pomyślałem. Nie będą oni na starość sami i opuszczeni. Jeśli tylko z wyspy przyjechać do was zechcą – dom im fajny postawimy i życie dostaną bez kłopotu, to moja wola jest, a wy ją musicie wypełnić. Musicie ją uszanować.

I zaraz poszły wozy po te córki i po tych rodziców. Tak znów na tym zamku były zabawy, uciechy, a jak córki księcia na zamek przyjechały, to ci dwaj młodszy bracia zaraz się na glendy zmówili. Tedy szykowali wesele. Rodzice byli mocno uradowani i z tej wyspy Dajdaj przyjechali. Ale wymówili sobie, że co roku w lato przyjadą do tej chatki na pamiątkę, jak oni tu na Dajdaju zaczęli i się biedowali.

No i wesele było wyżyte i wypite i wszystko dobrze już było. I oni wszyscy dobrze pamiętali te pierwsze lata na Dajdaju, co to sami tak to jezioro nazwali. Było ono Dajdajem, a potem je ludzie na Dadaj przemienili i tak już zostało w bajce i pieśni.

... ja słuchałam jeszcze, że tak czasami tak strasznie, wieczorem żaba ryczy, ani by wół narzekał. To jeszcze w tym Kuckańskim Kącie zawsze słychać. I widziałam taką żabę na własne oczy, taką ryczącą, ale taka sroga³ nie była, tło mocno takie pęcherze wydymała. Hrm, hrm, hrmmm – tak wyrzekała ta żaba...

³ wielka

O STRACHACH W WĘGOJU

(opowiadał M. Flakowski)

Jakem za chłopaka był, pojechali z ojcem do Węgoja na jezioro, na raki w nocy. A na raki to musi ogień być. I tak do nas na wyspę coś wołało, czy może przyjść się ogrzać. Ojciec mówi:

- Chodź. Kiej ci zimno, chodź do noju. Jo.

To tak się przykulnęło ani by kopa siana. Tak się to kulało. I przyszło kiele ognia i się układało. I lęk się zrobił. A byli starsi od nas chłopcy, taki Ostrowski z tego Węgoja.

- No- mówi - ja ci pokażę!

Urznął dobry lipowy kij, jak diabła bił zawdy na krzyż. A ono się przekantowało i jak nie mogło wytrzymać, to jak przyszło tak poszło. To tedy z tamtej strony wołało:

- Wołałiśta mnie, a nie daliśta się ogrzać!

To dostaliśmy strachu i pojechali do domu. A to ani by kopa siana była.

JAK CHŁOPAK WILKA DO BISKUPCA PRZYNIÓSŁ

(opowiadał J. Olk)

W Biskupcu to był kiedyś taki majster – krawiec. Miał on uczniów na nauce krawiectwa u siebie. A ten krawiec, richtig wiarus, bardzo rad czytywał książki z polskiej biblioteki. I jak zwykle, co jakiś czas, jednego z uczniów posyłał do Rychbaka po książki, a to było cztery kilometry przez las. I mróz tego dnia był wielki, ale ten uczeń poszedł. No, idzie tak szosyjo. Idzie. Idzie, ale patrzy – z daleka widać dwie świeceki migają... tu... tam... tam. A jak majster czytał, to on się zawsze przysłuchiwał i z tych książek wiedział, że to wilkom tak się oczy świecą. Tak co tu robić?! Chłopak dostał stracha. Ale prędko położył się na ziemi i leży. Tak ani by był umarty. I myśli... teraz to mi wilk nic nie zrobi. A jo. Przyszedł ten wilk do niego. Wącha go od stóp aż do głowy. A ten majsterski uczeń ani tchu z siebie nie puści, leży cichuśko, a wilk stanął nad nim, okraczył go tak i te swoje przednie łapki on wilk koło szyi tak mu postawił. Tedy tym ozorem zaczął go po szyi ani rejbaską⁴... chlast... chlast... chlast... chlast!

To kiedy go on chłopak nie capnął za one przednie łapki i wstał. Wilk jest sztywny w karku, to mu nic nie poradził zrobić, a chłopak go tak przed sobą trzyma i niesie. To wilk go jeno tylnymi łapami drzeć po kurcie zaczął, po buksach⁵ go darł, ale nic – chłopak wilka trzyma przed sobą i niesie. Chłopak w strachu, ale idzie z onym wilkiem, aż przyszedł do Biskupca do onego majstra. Ba, majster już śpi, okiennice zamknięte. To kiedy ten chłopak nie zacznie onym wilkiem po okiennicach walić – zbudził majstra. Tedy majster wstanie i pyta:

- Chłopaku!? Co tam takiego!?

- Majsterku. Ja wilka za łapy trzymam! Ino chudźko, bo jak go puszcę, to on mnie pożre! Ratujcie majsterku!

- O syneczku! Trzymaj go! Ja pójdę do burmistrza!

Majster poszedł, burmistrza obudził, chłopów zwołali, to jeszcze on chłopak onego wilka musiał nieść aż za miasto do jednej stodoły. Chłopi drągami dźwierze roztworzyli i jak chłopak wilka puścił bez dźwierze, to oni go temi drągami zabili i fertig.

⁴ tarka

⁵ spodniach

O ZBÓJECKIEJ KARCYMIE KOŁO BISKUPCA

(opowiadał M. Flakowski)

Przed laty kiedyś w Bisztynku był targ. I na ten targ jechali handlarze z Biskupca. A wtedy wielkie lasy tam były i ten jeden handlarz jakoś zgubił się od innych, pobłądził i tak sam dalej wędrował. Wędrował tak, szedł, aż do karczmy w lesie doszedł. A dawniej to tam było gwałt lasów. A w tej karczmie byli zbóje. Zaraz mu konia odebrali i na górę go dali spać i dźwierze za nim zaparli. A na tej górze bo on zacznie się rozglądać, patrzy, bo tu pod łóżem zabity i obrabowany człowiek leży. Tedy on handlarz strachu dostał, co z nim źle będzie. Od okna do okna chodzi, patrzy – bo wszędzie kratki.

- No to przepadłem. Zginąłem – myśli on handlarz. Ale przyszło mu do myśli, tego zabitego oblec we własne odzienie i na łożu go ukłaść. Tak zrobił, a sam w jego odzieniu pod łoże się układał.

Dwunasta godzina, bo idą karczmarze zbóje. Otworzyli dźwierze po cichu: - śpi – mówią. I trzy razy taką szlagą w łeb onego zabitego: buch, buch, buch.

- Gotów – mówią. Obrabujem go jutro, jak z targu z Bisztynka wrócim.

I poszli. A ten handlarz z Biskupca pod tym łóżem to aż siwy łeb ze strachu dostał. Z ranka słucha on – wszystkie zbóje na targ pojechali. Tło syn w domu ostał. A tu gdzieś koło południa, bo słucha – muzyka jest. Wojsko idzie. Tedy on handlarz okno wybił, białą płachtę wyrzucił, machać nią począł i ratunku wołał.

- Halt. Co tu jest – kapitan pyta.

- Wszyscy na targu są – syn zbójów powiada – a ten tam, to głupi brat jest i go zapartego za dźwierzami trzymać musimy.

Ale wojsko nie słuchało, dźwierze wyparli i handlarza wypuścili. A na onych zbójów zasadzkę zrobili, złapali ich i do Olsztyna odstawili, bo tamoj kiedyś wielki sąd był. I na karę tych zbójów zasądziłi te sądowe ludzie.

Takie to były kiedaj czasy, gdy to był tylko las, las, a ludzi mało. A dzisiaj my mówimy co to bajka jest, ale ono nie była bajka, tło prawdziwa prawda.

GÓRA KLASZTORNA KOŁO CZERWONKI

(Alojzy Śliwa)

W pobliżu stacji kolejowej Czerwonka, w powiecie biskupieckim na Warmii, wznosi się okrągła góra, zwana Górą Klasztorną.

Stał tam kiedyś klasztor. Musiał być wielki, gdyż dziś jeszcze widnieją ślady obszernych, podwójnych wałów, które go otaczały. Na skalistym szczycie znajdował się niezgłębiony otwór – nawet najdłuższa linia nie mogła sięgnąć dna.

Według starej legendy, krążącej po okolicy Czerwonki, miał kiedyś w tym właśnie miejscu zapaść się klasztor. Głęboko w komorach klasztornych miały być ukryte niezmierzone skarby, a stróżem skarbów miał być stary mnich ze śnieżnobiłą brodą...

Razu pewnego kilku chłopców z pobliskiej wsi pasło na górze klasztornej bydło.

Stali nad przepaścią, wpatrując się w bezdenną głębinę, i gwarzyli o ukrytych w dole bogactwach. Przypominali sobie, co ludzie mówili o zapadłym zamku, w końcu zapragnęli spróbować szczęścia.

Nie namyślając się długo, przynieśli linę, przywiązali do niej najmłodszego z pastuszków i mimo jego łez i krzyków zaczęli pomału spuszczać go w głąb.

A linia była dłuższa niż wieża kościoła w pobliskim Biesowie. W pewnej chwili zrobiła się lekka, skurczyła się – był to znak, że dotarła do dna. Chłopcy zaczęli głośno wołać, lecz nikt im nie odpowiadał. Nasłuchiwali z twarzami przy samej ziemi, lecz żaden dźwięk z głębi nie dochodził. Wreszcie zaczęli linę wciągać do góry, a gdy ukazał się koniec, a chłopca nie było, opanowało ich przerażenie i w strachu wielkim rzucili się do ucieczki.

Następnego dnia zabrakło im odwagi, by udać się na Górę Klasztorną. Pognali bydło na łąki, koło jeziora Dadaj, martwiąc się i wspominając zaginionego towarzysza. W pewnej chwili, ku ich wielkiemu zdziwieniu i ogromnej radości, ujrzeli chłopca, którego uważali już za zmarłego. Zbliżał się do nich w wesółych podskokach. Kieszenie i czapkę miał napełnione złotem.

Gdy obstąpili go kołem, zaczął opowiadanie:

- Gdy uwiązany na linie stanąłem na dnie, spostrzegłem, że znajduję się w wielkiej komorze. Była tak napełniona złotymi i srebrnymi przedmiotami, że ich blask mnie oślepiał. Jakiś stary człowieczek podszedł do mnie, zagadnął uprzejmie, odwiązał od liny i powiódł przez wiele lśniących komór, pełnych złota. Wieczorem zaprowadził mnie do miękko zastanego łóżka, na którym przespałem noc. Następnego ranka obudził mnie, obdarował złotem, mówiąc: „To daje ci mnich klasztorny”. Potem otworzył boczną bramę i wypuścił mnie. Gdy się obejrzałem, znajdowałem się w dole przy Górze Klasztornej, a brama zniknęła i mnich zniknął.

Gdy chłopcy to usłyszeli, zapragnęli również stać się bogatymi. Popędzili pod górę i poczęli się kłócić o to, kto ma pierwszy zjechać na linie w dół. Nie mogąc się pogodzić, ciągnęli losy. Ten, który wylosował pierwszy, obwiązał się sznurem, a inni spuścili go w dół. Gdy sznur wyciągnęli do góry, chłopca przy nim nie było. Rozeszli się do domów pełni radosnej nadziei, że następnego dnia kolega ich przyniesie bogate skarby i złoto.

Lecz chłopiec nie zjawił się ani na drugi dzień, ani na trzeci i nigdy już go nie zobaczyli. Od tego czasu nikt nie miał odwagi spuścić się w tajemniczą przepaść. Jadąc koleją do Olsztyna, przy dworcu Czerwonka, po prawej stronie zobaczyć można ową zaklętą górę, a po lewej stronie – piękną zagrodę, którą niegdyś Jasiak - pastuszek wybudował za podarowane mu przez mnicha złoto

DADAJ

(Zofia Zymmer-Hansowa)

Dawno już temu, bardzo dawno, na Warmii błyszczącej tysiącem jezior, szumnej borami, rozśpiewanej chórami ptaków, niedaleko Olsztyna żył ubogi chłopek imieniem Krystek. Samotnie mieszkał w maleńkiej, niepozornej, mocno do ziemi przygiętej chatynce. Nie miał co jeść ani w co się ubrać. Chodził w starym, połatany ubraniu podarowanym przez litościwą sąsiadkę, boso, podpasywał się kawałkiem sznurka i wędrował od domu do domu. Temu coś naprawił, tamtemu w czymś pomógł – dostawał za to trochę stawy... A nocami, przewracając się na swym nędznym pościeliu, marzyło mu się, że mógłby przecież żyć inaczej, w dostatku, mieć przyjaciół, piękną żonę, dzieci. Ale żadna panna ani spojrzeć na niego nie chciała, choć młody był i przystojny, a gdy czasem wspominał o żeniactwie, sąsiedzi tylko wybuchali śmiechem:

- Sam nie masz gdzie mieszkać ani co do garnka włożyć, a o żonie myślisz?

Krystek smutnie zwieszał wtedy głowę, przyznając rację sąsiadom. Która tam dziewczyna zechciałaby go, biedaka!

Ale po nocach wciąż marzył:

„Ech, gdybym był bogaty, żonkę bym pojął, a dostatkiem podzieliłbym się z biednymi, aby nikt nie był głodny i spragniony...”

Pewnego dnia, gdy Krystek zmęczony całodzienną włóczęgą siedział na progu chatki, zjawił się przed nim nieznanый starzec, wsparty na sękatym kosturze. Suknię miał długą, bosc stopy, srebrna broda sięgała mu do pasa. Czarnymi oczami badawczo patrzył na twarz Krystka, który zdumiony tą dziwną wizytą, nie śmiał słowem się odezwać.

- Wiem, jak gorąco marzysz o bogactwie i dostatku. Będziesz więc je miał. Wiem, że pragniesz żony. Dam ci za żonę własną córkę. Jeżeli będziesz żył tak pięknie, jak pięknie potrafisz marzyć, szczęśliwy będziesz do końca twoich dni. Jeśli się jednak okaże, że dostatek i bogactwo odmienią twoje dobre serce, stracisz wszystko.

Oszołomiony Krystek poprzysiągł gorąco, że nic nie zdoła mu serca odmienić, bo cóż łatwiejszego jest nad dzielenie się wszelkim dobrem z innymi, gdy się samemu wszystkiego ma w bród.

Starzec zniknął, a Krystek sam nie wiedział, czy to sen był, czy jawa. Niespokojnie przewracał się nocą na twardym pościeliu.

Ledwie świt błysnął, ledwie słońce różowym blaskiem rozświetliło niebo, wyszedł Krystek przed chatę i stanął zdumiony. Na przyzbie ujrzał śliczną, młodą dziewczynę, na podwórku – pełen złotych i srebrnych monet wóz, zaprzężony w rosłe konie.

Stał tak na progu, kułakiem oczy przecierał, myśląc, że śni jeszcze, ale dziewczyna patrzyła nań słodko, zalotnie, a konie rżały cicho, niecierpliwie.

- Jestem Dadaj – odezwała się dziewczyna. Przysyła mnie tu mój ojciec, wraz z bogatym wianem. Mam ci być żoną i towarzyszką w życiu.

Krystek wreszcie uwierzył swemu szczęściu. Poślubił Dadaj, kupił ziemi kawał, postawił duży, przestronny dom i wprowadził doń piękną żonę, wesołą i gospodarną.

Wkrótce wieść o dostatku i szczęściu Krystka rozeszła się po całej okolicy. Odwiedzać poczęli Krystkowy dom liczni goście, żebracy schodzili się do niego po wsparcie. Zmęczeni, brudni, głodni, spodziewali się, że bogaty gospodarz nie odmówi im pomocy. Krystek przyjmował wszystkich gościnnie, karmił, poił, odziewał. A gdy po pewnym czasie żona urodziła mu synka, szczęśliwy bez granic, obdarzał przybywających podarunkami. Tak minęło lat kilka. Krystek i Dadaj gospodarowali, wszystko im się darzyło, synek rósł zdrowo. A przez próg gościnnej chaty coraz nowi przewijali się biedacy. Odchodząc, nie skąpili miłych snów i błogostawili gospodarzy.

A jednak z biegiem lat, gdy Krystek przywykł już do dostatku, zapomniał o dawnej nędzy i o dawnych swoich marzeniach, zaczęli go drażnić i niecierpliwie ludzie przychodzący z prośbą o pomoc, radę czy wsparcie. Żal mu się zrobiło swych bogactw, które uszczuplał dla obcych, niechętnym okiem począł spoglądać na biedaków, czasem i na żonę burknął, gdy wynosiła im jedzenie i picie. Ale choć darzyło mu się coraz lepiej, im więcej miał, tym więcej chciał. Stał się zachłanny, podejrzliwy, skąpy. W końcu zaczął odprawiać wszystkich z kwitkiem od progu swego domu. Odetchnął z ulgą, gdy biedni – zrażeni niegościnnym przyjęciem – przestali przychodzić.

W domu zapanowała wtedy cisza. Bo i Dadaj przycichła jakoś i posmutniała. Kręciła się jak dawniej po obejściu, tylko śmiech jej nie rozbrzmiewał już jak dawniej, tylko mocniej i goręcej pieściła synka, a chwilami po kątach płakała.

Krystek, który żonę bardzo kochał, martwił się jej smutkiem, wypatrywał o przyczynę jej łez, ale Dadaj tylko wzdychała żałośnie. Aż któregoś dnia, kryjąc zapłakane oczy, chustą wyznała, że skoro tak się odmienił, skoro nie dotrzymuje przysięgi, ona będzie musiała go opuścić!

- Jak to? – zaniepokoił się Krystek. – Nie chcesz przecież ode mnie odejść?

- Nie chcę od ciebie odejść – przyznała Dadaj – ale jest ktoś, kto mnie stąd zabierze, bo nie chcesz dziś tak żyć, jak dawniej marzyłeś.

- Co mi tam za historię opowiadasz! – zaśmiał się. – Któż by mógł cię zabrać? Nikomu cię nie oddam! Ani ciebie, ani mego majątku! Niczego się nie boję! A żyję tak, jak mi się podoba i...

Nie dokończył jednak zdania, bo nagle zerwał się gwałtowny wicher, który zatrzęsł ścianami chaty, załomotał okiennicami, wzniosł tumany pyłu, zagwizdał przeciągle w kominie.

Z daleka rozległo się wołanie:

- Dadaaaaj!!! Dadaaaaj!!!

Kobieta zbladła, oczy jej rozszerzyły się z przerażenia. Ze szlochem przypadła do łóżeczka dziecka, które przebudzone, też płakać zaczęło, i zaraz skierowała się ku drzwiom.

- Dadaj, nie wychodź, nie słyszysz wichury? Burza nadciąga! – zawołał Krystek.

- Stało się... Muszę odejść. Ojciec mnie woła. Żegnaj – szepnęła i szybko wybiegła z domu zanim Krystek zdolał ochłonąć ze zdumienia.

Wyskoczył żywo na dwór i starając się przekrzyknąć szum wiatru, wołał przerażony:

- Dadaj!

Nikt mu jednak nie odpowiadał.

Biegł, potykając się, przed siebie. Nagle ujrzał białego rumaka z rozwianą grzywą i rozdętymi chrapami, a na jego grzbiecie starca o srebrnej brodzie, który trzymał w objęciach zapłakaną Dadaj.

Krystek przystanął, wyciągnął błagalnie ramiona. Zrozumiał, że starzec przybył, by go ukarać za niedotrzymaną obietnicę.

- Zabierz wszystko – zawołał gwałtownie. – Zostaw mi tylko Dadaj!

- Dadaj jest najcenniejszym skarbem, jaki otrzymałeś! Nie potrafiłeś żyć pięknie, stwardniało twoje serce, nie dotrzymałeś obietnicy, tracisz więc wszystko! – zagrzmiął surowy głos.

- Dadaj, wróć!!!

Starzec wspiął konia. Rumak zarżał i runął przed siebie jak burza. W pewnej chwili rozstąpiła się ziemia pod jego kopytami. Koń i jeździec wpadli w głęboką szczelinę, z której wysokim strumieniem trysnęła woda. Wkrótce zaczęła rozlewać się coraz szerzej i szerzej, aż powstało jezioro.

Długo stał zrozpaczony Krystek na brzegu, długo przywoływał swoją Dadaj. Na próżno. Wrócił do domu, owinął synka chustą, poszedł w okoliczne lasy. Od czasu do czasu wraca jednak nad srebrzyste wody jeziora i woła przejmująco:

- Dadaaaaj!!!... Dadaaaaj!!!...

W chmurne, bezgwiazdne noce można niedaleko Olsztyna, od Biskupcem, dziś jeszcze usłyszeć to wołanie, niesione poszumem wichru, wracające tysięcznym echem:

- Dadaaaaj!!!... Dadaaaaj!!!....

Źródło tekstów:

Okęcka-Bromkowa Maryna (wybór i opracowanie), „Nad jeziorem bajka śpi”, Olsztyn, wyd. „Pojezierze”, 1962 r.

Brzeska-Smerek Teresa (wybór i opracowanie), „Antologia warmińska. Warmia w baśniach, podaniach i legendach”, Olsztyn, wyd. Agencja Smerek-Kantor, 2011 r.